

U potomków kanibali



Chatka Korowajów zawieszona w konarach drzew



Jacek Pańkiewicz

Po raz kolejną naturą ukazała nam swój fascynujący, a zarazem groźny majestat

Patrzą na nas przenikliwie i złowrogo, nic nie mówiąc. Nie trzeba słów, żeby zrozumieć, że to chwila, którą z pewnością na długo zapamiętam. Niewysokiego wzrostu Korowaje jeszcze w bliskiej przeszłości byli znani jako budzące postrach kanibalistyczne plemię chronione przez nieprzeniknione lasy

równikowe, tajemnicę, magię, legendę. Wszyscy w nieokreślonym wieku, są nadzy, jeśli nie liczyć spódniczek z włókna palmy sagowej i naszyjników z muszelek u kobiet. Mężczyźni zaś zabezpieczają penisy, wypychając je do moszny, a końcówkę owijają liściem i obwiązują go włóknem. W rękę trzymają łuki i strzały z zatrutymi grotami z kości kazuara. Mam wrażenie, że cofnąłem się do dawnej epoki, zostałem katapultowany do innego wymiaru, w którym czas nie istnieje. Jeszcze do niedawna jeden z najmniej przyjaznych rejonów świata posiadał barierę nie do pokonania: zabójczy klimat i nieprzebyta dżungla. Ponadto ponura sława bezlitosnych łowców głów skutecznie zniechęcała do wypraw w te rejon.

Uświadamiam przy tym, że w 1961 r. właśnie tutaj, w regionie Asmat w południowo-zachodniej części wyspy Nowa Gwinea, dokładniej w indonezyjskiej Papui Zachodniej, zniknął bez śladu syn amerykańskiego wiceprezydenta, Michael Rockefeller. Przez długie lata nie było wiadomo, co naprawdę stało się z najmłodszym spadkobiercą fortuny miliardera. Dwudziestotrzyletni absolwent antropologii Uniwersytetu Harvarda zbierał na wybrzeżu Morza Arafura kolekcję sztuki plemiennej. Od tego czasu pojawiło się wiele spekulacji na temat tego zaginięcia. Podobno w jednej z wiosek Asmatów znaleźli się rzekomi świadkowie wydarzeń, którzy potwierdzili, że biały, szczupły w okularach męż-

czynna został przebity włócznią w zębra, poćwiartowany i zjedzony.

OSTATNI KOROWAJOWIE

Kanibalizm, swego czasu praktykowany przez większość mieszkańców Nowej Gwinei, od początku XX w. był surowo tępiący przez władze holenderskie, a potem indonezyjskie. Niektórzy misjonarze utrzymują, że żyjący w głębi interioru, zatrzymani w epoce kamienia Korowaje, do dziś pogrążeni w permanentnych wojnach klanowych, kultywują zakorzenione w kulturze i wierzeniach rytuały. Zdobyte w potyczkach głowy są niezbędnym rekwizytem rytuałów inicjacyjnych, a ich liczba stanowi o statusie społecznym mężczyzny, który przyswoił sobie żywotność ducha i moc poległych wrogów. Na szczęście minęło już dużo czasu, kiedy zginęli ostatni przybysze z zewnątrz.

Irfan – nasz przewodnik, jeden z niewielu, którzy świetnie znają to terytorium i, co ważne, akceptowany przez miejscowych – twierdzi, że w dzisiejszych czasach biali mogą czuć się całkowicie bezpieczni. Uważa, że antropofagia faktycznie ma jeszcze miejsce. Jednak Korowaje nie zjadają swoich wrogów, a tych, którzy praktykują czarną magię. Kiedy ktoś zachoruje na nieznaną chorobę, przed śmiercią zwykle wymienia imię Kakua, czarownika, który rzucił na niego śmiertelną klątwę. Wtedy jego krewni zabijają winowajcę i zjadają nie tyle jego ciało, ile przebywającego w nim złego ducha Kakua właśnie, który przynosi nieszczęście i zagraża życiu innych.

Irfan mówi też o tym, że pomimo wielokrotnych nacisków ze strony misjonarzy protestanckich, przybyłych tutaj na przełomie lat 40. i 50. XX w., nigdy nie zgodzili się na porzucenie swoich tradycji, odmawiając noszenia „naszych ubrań”, które zniekształciłyby ich wygląd i upodabniały do cyrkowych zjawisk. Nie pozwala przekazać przywiezionych zachodnich dóbr, nie chce, aby jakkolwiek przedmiot, pochodzący z cywilizowanego świata, zanieczyszczał tę populację. Dla niego bardzo ważne jest, aby te ostatnie plemiona nie utraciły swojej tożsamości kulturowej. Kocha swoją ziemię i jej różnorodność kulturową i nie chce, aby kilka tysięcy ostatnich Korowajów zostało zredukowanych – podobnie jak inne społeczności – do odgrywania błaznów



Korowaj zwinnie dociera do swojego siedliska

Zdobyte w potyczkach głowy są niezbędnym rekwizytem rytuałów inicjacyjnych



Ostatni etap dziejowy Korowajów

dla białych turystów. Rząd zbudował drewniane domy w pobliżu Yaniruma specjalnie dla nich, aby przekonać ich do zamieszkania we wsi, ale nie bardzo chcą z nich korzystać. Zdarza się, że niektórzy akceptują zmiany wiodące ku bardziej stabilnemu i cywilizowanemu życiu. Ale czy porzucając las, który ich chroni i odżywia, są później szczęśliwi? Pamiętam, jak pierwszego dnia zachmurzyła się jego twarz, gdy mówił, że nigdy nie zabiera wędrowników w najgłębsze serce dżungli, gdzie pędzą żywot jeszcze autentyczni, silnie powiązani z obrzędami przodków, rdzenni mieszkańcy. „Linia demarkacyjna”, wymagowana granica oddzielająca świat znany od enklawy prehistorii i pradawnych rytuałów, leży pięć dni marszu stąd.

ODCIĘCI OD ŚWIATA

Papua przyciąga tajemniczością. Niektóre jej regiony, jak Wamena czy dolina Baliem, stają się coraz popularniejszą destynacją turystyczną, a wędrowniaki w samo serce dzikiej Papui to już istny pięciogwiazdkowy rarytas dla najbardziej wymagających podróżników, wypatrujących mieszkańców krain odległych zarówno w sensie geograficznym, jak i czasowym, gotowych przy tym na ogromny wysiłek i różne zagrożenia.

Teraz, po uciążliwej, siedmiodniowej podróży przez bagnistą dżunglę, porzecinaną gęstą siecią błotnistych rzek zamieszkałych przez krokodyle, jesteśmy w miejscu odciętym od świata, gdzie mieszkańcy, którzy codziennie walczą o przeżycie w ciężkich warunkach, nie kwapią się do kontaktów z cywilizacją. Te tereny są tak odległe i tak niebezpieczne, że nie zapuszczają się tu nawet indonezyjscy żołnierze. Pośród gaju palm sagowych, na zarośniętej powalonymi drzewami polanie, na wysokości naszego trzeciego piętra widnieją dwie nadrzewne rumah tingi, chatki, w której mieszkają rodziny z psami, świniami i kurczakami. Żadnej drabiny, tylko wysoka żerdź z głębokimi nacięciami. Z lasu wyłania się kobieta z psem w siatce na ramionach i dzieckiem na ręku. Patrzy na nas ukradkiem, po czym rzeško wspina się po pnium, jedynej drodze do domostwa. Z platformy o wymiarach 5 x 8 metrów wychylają się ciekawskie twarze, przyglądają się nam uważnie, a po chwili schodzą zrećnie na ziemię.



Autor wśród Papuasów

■ Ostatni na Nowej Gwinei ludzie „zawieszani w konarach” zgrupowani są zwykle w kilka rodzin. Decydują się na izolację w obawie przed wrogimi klanami. Im wyżej na drzewie dom jest położony, tym większy jest stopień strachu przed wrogiem. Na tych wysokościach nie tylko jest chłodniej, lecz także jest mniej komarów, nie ma żyjącego na ziemi robactwa ani jadowitych pająków czy węży.

W tym swoim mikrokosmosie mieszkańcy czują się bezpiecznie, chronieni przed wszelkimi czarami i atakami wroga. A takim mogą być Kombai, z którymi regularnie ścierają się, wywołując krwawe waśnie. Dla tych ludzi nie istnieje żadna administracja państwowa, do lat 70. nie wiedzieli, że Ziemia jest okrągła i że gdzieś tam żyją inni ludzie, ale wierzą, że ich Ziemia składa się z czterech koncentrycznych kręgów. W pierwszym leży świat realny i namacalny, w drugim jego kraniec, w trzecim Wielka Woda zamieszkała przez gigantyczne ryby, a w czwartym niebo z gwiazdami.

Korowaje utrzymują się głównie z myślistwa, rybactwa i zbierania płodów leśnych. Żyją bardzo krótko, średnio ok. 35 lat. Ze względu na wysoką śmiertelność noworodków mają dziwny zwyczaj nadawania imion swoim dzieciom dopiero po ukończeniu 18. miesiąca życia. Małżeństwa zawiera się bardzo wcześnie, panuje tu poligamia i mężczyzna może mieć kilka żon. W przypadku śmierci męża prawo do wdowy i jej dzieci mają bracia zmarłego, którzy mogą zdecydować

o jej poślubieniu lub oddaniu za żonę innemu mężczyźnie. Kuriozalny jest zwyczaj unikania kontaktu między mężem a teściową, nie mogą oni jeść przy tym samym palenisku, używać tych samych naczyń i w ogóle się widywać.

Towarzyszmy całodniowej pracy przy procesie przygotowywania sago. Mężczyzna ścina siekierą, cennym nabytkiem uzyskanym drogą barteru na targowisku oddalonym o kilka dni drogi, odpowiednią palmę. Po jej okorowaniu wkraczają do akcji kobiety, rozbijając drewnianymi młotkami wewnętrzną część pnia na miazgę. Taką pulpę drzewną później dokładnie przepłukują, otrzymując finalnie mączkę sagową. Stanowi ona ważne źródło pożywienia, w postaci podplomyków czy zupy o galaretowatej konsystencji. Tę ostatnią jakoś przełknąłem, ale już nie miałem ochoty na bogate w białko larwy pędraków grubszych od palca, lokalny

W tym swoim mikrokosmosie mieszkańcy czują się bezpiecznie, chronieni przed wszelkimi czarami i atakami wroga

specjał wydobywany ze ściętej próchniejącej palmy. Dwóch moich współtowarzyszy odważyło się, ale przypłacili tę degustację biegunką.

RYZIKOWNA PODRÓŻ

Po trzech dniach pobytu jutro opuścimy Korowajów. Irfan wyjawia, że i nasi gospodarze po pięciu latach porzucą swoje wyniszczone domki i przemieścić się w nowe miejsce, gdzie jest więcej zwierzyń.

Przed zaśnięciem zapisuję w moleskynie: temperatura 37 stopni i 92 proc. wilgotności. Pod moskitierą z tiulu spryskaną repelentem od żarłocznych moskitów wspominam trudy naszej przygody. Jest nas czterech i mamy do dyspozycji 16-osobową ekipę wsparcia, a wśród niej są przewodnik, dwóch tłumaczy (języka angielskiego i lokalnego), kucharz, jego pomocnik i tragarze. Najpierw lecieliśmy awionetką Trigana Airways z Wameny do Agats. Podczas lotu wydawało się,

jakbyśmy jechali autobusem drogą pełną wertepów, było mnóstwo wstrząsów i wibracji, ponadto na krótko przed lądowaniem śmigło prawego silnika zaczęło niepokojąco przerywać. Wyprawa na Nową Gwineę to nie tylko ryzyko wypadku lotniczego, które nie są rzadkością, lecz także malarii, pasożytów przewodu pokarmowego czy choroby skóry, a także złamania nogi albo ukąszenia jadowitego węża na dzikich bagnach w odległości kilku dni marszu od najbliższej prymitywnej wioski, co mogłoby być wyrokiem śmierci dla nieszczęśnika. Potem czekała nas długa żegluga łodzią wyposażoną w dwa 40-konne silniki i wreszcie sześć długich dni przedzierania się po osiem godzin dziennie przez wszechobecne błota, pokonując rwące po zwałonym w poprzek zdradliwie oślizgłym pniu drzewa potoki, klucząc w gęstwinach ciernistych krzewów pod strugami ulewy przypominającej Sąd Ostateczny. Nieustannie w mokrej od potu lub deszczu odzieży, odpierając ataki pijawek i mrowia owadów żądających bezlitośnie przez ubranie.

Natura ukazała nam swój fascynujący, chociaż też groźny zarazem majestat. W obecności tego nieskażonego i dzikiego sanktuarium zmęczenie i nieodłączne towarzystwo komarów wydawało się bardziej znośne. Dni mijały powoli, zmierzając w nieznane, cofaliśmy się w przeszłość, coraz bardziej zostawiając za sobą efemeryczne bezpieczeństwo zachodniej cywilizacji.

Teraz wracamy do domu pełni wrażeń resztek uchodzącego do historii świata. Często będą mnie pytać o kanibalów. „Wciąż jest nam potrzebny mit pierwotnego osobnika, jeszcze lepiej, jeśli kanibalizmu – mówił mi kiedyś australijski antropolog Chris Ballard. – Lubiemy myśleć o istnieniu pozaczasowych, skryzalizowanych w fazie prehistorycznej istnień, bez jakiegokolwiek ewolucji i przemian społecznych. Ta bajka zapewnia o naszej wyższości i progresywności. Dlatego wolimy, aby Dzikus był nagi i prymitywny, charakteryzujący się cechami, które dawno porzuciliśmy”.

Przemysł turystyczny kusi egzotycznym programem, tajemniczy łowcy głów silnie działają na wyobraźnię, wzbudzając dreszcz ekscytacji, i „archaiczne” społeczności nauczyły się dawać białym to, co chcieliby zobaczyć. © Wszelkie prawa zastrzeżone